

To jest wojna

Niektórzy jeszcze udają, że nic strasznego się nie dzieje. Ale za chwilę udawanie się skończy. **Zacznij się strach** – ostrzega reżyser Przemysław Wojcieszek

TEKST DAWID KARPIUK, ZDJĘCIE BARTEK SADOWSKI

Rozpoznaję go po tym, że nie pasuje. Za duży, za szeroki i za alternatywny na knajpę, w której się spotykamy. W niemodnych okularach, z chłopcim spojrzeniem neurotyka idealisty. Z niedbale związanymi włosami, w glanach z kolorowymi sznurówkami, w džinsach i wyciągniętej koszulce. Z piwem w garści i wysepionym papierosem w zębach.

Przygląda się światu z zaciśniętymi pięściami. A świat ostatnio stanął na głowie i Wojcieszek próbuje go jakoś zrozumieć. Za każdym razem wychodzi mu, że zmierzamy do katastrofy.

– To, co się dzieje, to wojna – mówi. Trzeba walczyć, trzeba się jakoś bronić.

Ostatnio Wojcieszekowi przytrafił się sukces życia. Nie tylko artystyczny, bo takich już parę miał. Frekwencyjny. Jego „Hymn narodowy” w Teatrze Modrzejewskiej w Legnicy od dwóch miesięcy grają przy pełnej widowni. Ludzie kupują bilety na kilka tygodni do przodu. Cała Polska się zjeżdża.

Ostatnio publiczność witają narodowcy z ulotkami. Na jednej z nich jest przekreślona twarz dyrektora teatru Jacka Głomba. Na drugiej wywód o tym, dlaczego Polakom teatry nie są potrzebne. Na forach obiecują Modrzejewskiej zamknięcie. A Wojcieszekowi karę za antypolskość.

Wojcieszek postanowił pójść za ciosem. Napisał „Polską krew”, komedię polityczną, i pojechał z nią do Warszawy. Ale w Warszawie jej nie chcieli. – W jednym

teatrze powiedzieli, że „Polska krew” to bełkot – opowiada Wojcieszek. – W innym, że obrzydlistwo. Jeden dyrektor po starej sympatii zaproponował mi czytanie tekstu w dwa tysiące trzydziestym ósmym. Inny powiedział szczerze: „Panie Przemku, to jest teatr, ja w tym teatrze mam na etatach tyle i tyle osób. Te osoby mają rodziny na utrzymaniu, kredyty mają. Ja ich nie mogę narażać”. A mnie szczeka opadała coraz niżej, bo każdy z tych dyrektorów wie, ile osób obejrzało „Hymn”. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby nie było owacji na stojąco po spektaklu. Myślałem, że jak pójść za ciosem, będzie łatwiej. Chodzę po tych teatrach i mówię: „Błagam, potrzebuję tylko kawałka podłogi, zrobię to za darmo, nie chcę kasy, tylko procent z biletów.” Pójść sprzątać do Kerfa, będę spał u znajomej, nie ma problemu. Nie potrzebuję muzyki, nawet światła nie potrzebuję. Wystarczą cztery fotele ze śmietnika i stolik.

Bohater „Polskiej krwi”, Romuald, ma 24 lata i wierzy w prezesa. Mówi o nim „Tato”. Jego żona Lucyna jest antysemitką, prowadzi bloga, na którym tropi Żydów i zdrajców narodu. Marzy o Wielkiej Polsce Katolickiej. Romuald jest impotentem. Podniecają go wyłącznie Żydówki. Lucyna jest dumna z tego, że „nasi dziadkowie gonili ich z widłami przez zboże”. Niczego nie żałuje. „I’m sorry, Żydzie” – podśpiewuje na melodię piosenki zespołu Ace of Base.

Z kolei Michał, aktor serialowy, nie wierzy w nic, ale lubi seks i lubi siebie. Chodzi





„*Pętla się zaciska i jak czegoś z tym nie zrobimy, to za rok, dwa będziemy dyndać*”

PRZEMYSŁAW WOJCIESZEK

na manifestacje KOD i podrywa dziewczyny. Nie interesuje się polityką, ale kiedy przypadkiem zostaje gwiazdą opozycji, traktuje tę rolę serio. Jego dziewczyna Emilia kocha i seks, i demokrację. Lubi się angażować, chętnie wysłał wieszaki do Kancelarii Premiera.

– To tekst ani mniej, ani bardziej bluźnierczy niż „South Park” czy „Little Britain” – mówi Wojcieszek. – Romuald i Lucyna to bohaterowie naszych czasów. Wszystkie strony obrywają po równo. Michał, podrzędny aktorzyzna, w życiu nie przeczytał żadnej książki, ale przypadkiem udziela wywiadu „Frankfurter Allgemeine Zeitung” i nagle zostaje intelektualistą, gwiazdą opozycji.

Jeszcze kilka dni temu Wojcieszek miał całą obsadę do „Polskiej krwi”. Kiedy kolejne warszawskie teatry odmawiały wystawienia tekstu, odeszło troje aktorów. Zostali Michał Surówka i Kacper Sasin, młodzi aktorzy, którzy zagrali w ostatnim filmie Wojcieszka „Knives out” (premiera w lipcu na Nowych Horyzontach). To historia o grupie przyjaciół, którzy spotykają się w domku nad jeziorem. Jednym powodzi się lepiej, innym gorzej, ale każdy ma jakiś powód, żeby kogoś nienawidzić. Przyglądając się napięciom między bohaterami, Wojcieszek próbuje pokazać, jak to się stało, że tak wielu Polaków dało się zatruć nacjonalizmem.

– Dwa tygodnie na zdjęcia, trzy tygodnie na napisanie tekstu. Cały film powstał w półtora miesiąca – wylicza Michał Surówka. Rocznik ‘92, świeżo po szkole aktorskiej.

– Przemkowi się zawsze chce – mówi o Wojcieszku. – Praca z nim to partyzantka, bo nie ma pieniędzy, ale za to jest dużo wolności. Jak chcę go wkurwić, mówię do niego „Wujek”.

Surówka debiutuje w niskobudżetowym filmie Wojcieszka i się cieszy, bo wielu jego znajomych ze studiów nie ma co ze sobą zrobić. Czasy są takie, że prawie każdy chce być sławny, a aktorów jest za dużo. – Na drugim roku umówiliśmy się z kumplami, że jak nie będziemy mieć pracy, założymy teatr i wszystko będzie rewolucyjne – opowiada Surówka. – Wiadomo, że niczego nie założymy, bo nikt w to nie wierzy. Przemek jest z tych gości, co zawsze wierzą. Czy się obawiam, że po Wojcieszku nie dostanę roboty? Trochę się obawiam, a trochę nie. To trochę przerażające i trochę rajcujące. Przygoda.

Kacper Sasin miał grać w teatrze Surówki. Na razie gościnnie występuje w Kielcach i myśli, żeby kiedyś zrobić coś ważnego. – A jeśli gdzieś ma się to wydarzyć, to czemu nie tutaj? – pyta. – Mam 25 lat, który dwudziestopięciolatek nie chce przeżyć czegoś wartego zapamiętania? Moje pokolenie wychowano na petentów. Nie chcę być petentem. Nie chcę tylko słuchać, jak to ktoś gdzieś kiedyś o coś walczył. Spotykaliśmy się, razem pisaliśmy teksty, Przemek był bardzo nas ciekaw. Piliśmy wódkę i gadaliśmy o życiu. Na planie? Na planie nie ma zmiłuj. Ósmy dzień zdjęciowy, na zewnątrz minus milion, godzina piąta trzydzieści, pani z produkcji niesie nam gorącą herbatę, żebyśmy się trochę rozgrzali, na co Wojcieszek krzyczy: „Co to, kurwa, jest? Herbatka? W dupach się poprzewracało!”.

Kacper Sasin pochodzi z Gryfic, sto kilometrów od Szczecina, dziesięć kilometrów od morza. – Kto tam zostaje, ten się kisi – opowiada. – Jest podatny grunt na wszystko, każdą ideologię. Jak ktoś zaproponuje cokolwiek nowego, ludzie lgną. Są młodzi, mają w sobie parę. Nie mają gdzie iść, więc idą w skrajności. Znajomy, wkurwiony życiem, pyta mnie: „Ty, a ty co masz na papierze napisane, magister od robienia min?”.

Sasin jest swoim pokoleniem rozczarowany, starszy o siedemnaście lat Woj-

cieszek wręcz przeciwnie. Młodzi go fascynują. To oni wybrali PiS, głosowali na antysystemowców, weszli w szeregi ONR i innych radykalnych organizacji. Zachowują się zupełnie inaczej niż młode pokolenia w czasach kontrkultury. Na odwrót. Jak to się stało, że wielka nadzieja III RP stała się jej koszmarem? Bardzo to Wojcieszka ciekawi.

„Przemkowi się zawsze chce. Praca z nim to partyzantka, bo nie ma pieniędzy, ale za to jest dużo wolności

– OPOWIADA AKTOR MICHAŁ SURÓWKA

Sam zastąpił jako twórca pokoleniowy, jego „Made in Poland” uchodził za manifest młodych. Wystawił go, mając 30 lat, wersję filmową nakręcił kilka lat później. Rzecz o wściekłym blockersie trafiała do wszystkich, bo pokazywała kawałek dobrze znanego świata i pozwalała go jakoś zrozumieć. Boguś był z pokolenia wystawionego do wiatru przez transformację. Zostało mu siedzenie na ławce, a jeśli ktośkolwiek się o niego upominał, to tylko rapery, którzy na swoich płytach opisywali codzienność polskich blokowisk. Od czasu kultowej, wydanej w 1998 r. płyty Molesty „Skandal” blokowiska miały swoje hasło: CHWDP. Dziś mają inne: Czołem Wielkiej Polsce. Między bloki przyniesiono politykę.

Okazało się, że ławkowi wcale nie chcą siedzieć na ławkach. Nikt tego nie przewidział. – Poza tymi, którzy wpadli na pomysł, żeby wklepać im do głów ideologię – kończy Wojcieszek. – Dres woli się utożsamiać z Polską i o coś walczyć, niż siedzieć na ławce.

– On szuka w nas tego, czego nie ma już w jego rówieśnikach – mówi Sasin. – To jest ostatni bitnik, człowiek z fuckiem na czole.

Pokolenie Wojcieszka dość powszechnie i przedwcześnie utyłło. Straciło zapał. – Wszyscy moi rówieśnicy już nie żyją – mówi Wojcieszek. – Jestem przerażony nimi, są martwi. Jestem ostatni. Cassavetes powiedział kiedyś, że w Stanach ludzie w wieku 25 lat umierają. Gdzieś ta energia ucieka, ucieka gotowość do robienia rzeczy szalonych. Czasem się zastanawiam, że skończę jako 50-latek, który biega z dziećmi po zamrożonym jeziorze. Mnie to kręci. Piszę dla młodych aktorów, jara mnie ta energia. To jest pokolenie, które wsparło dobrą zmianę. Mnie to fascynuje – czego oni chcą, jak głosują na Macierewicza. Na naszych oczach widzisz erozję demokracji. Co oni o tym myślą?

Jeszcze niedawno Wojcieszek zarzekał się, że nie wróci do teatru. Teraz, po sukcesie „Hymnu narodowego”, mówi, że to w teatrze znalazł energię, której szukał. – Ludzie wyciągają mnie zza kulis i biją mi brawo – mówi. – Nigdy czegoś takiego nie przeżyłem. Czuję się jak Stachurski w Białymstoku. Genialnie. Teraz stoję na progu nowego doświadczenia – teatralnej partyzantki w Warszawie i szczerze mówiąc, strasznie mnie to kręci. Wygląda na to, że będziemy to robić po mieszkaniach, zajebista energia. Chce się żyć.

Pieniądzy na „Polską krew” Wojcieszek szuka w internecie. Z honorariów za „Hymn” spłacił część ekipy, z którą pracował przy „Knives Out”. W pierwszej kolejności tych, którzy stracili cierpliwość i zaczęli go straszyć sądem. Znajomi Wojcieszka wściekają się, że gdyby tylko chciał, mógłby zarabiać górę pieniędzy na dużych produkcjach, a po godzinach robić kino artystyczne. Ale konflikt jest dla niego jak powietrze. Walczył już ze środowiskiem filmowców (bo leniwe, sprzedajne i nietwórcze), z hipsterską lewicą („bo pije latte za 17 złotych i pierdoli, jak jej źle”), z reżyserem swojego scenariuszowego debiutu Witoldem Adamkiem (po serii sporów wściekły wycofał nazwisko), z festiwalem w Gdyni (po tym, jak jego debiut „Zabij ich wszystkich” usunięto z konkursu. A usunięto, bo wygrał już inny konkurs). Ale walka ze środowiskami to co innego niż walka z władzą i faszyzującą się ulicą.

– Z jednej strony mamy mroczne siły, które demontują ten kraj, a z drugiej ludzi, którzy udają, że nic się nie dzieje – tłumaczy. – Jeszcze jesteśmy w czasie udawania, ale on wkrótce zmieni się w czas strachu. W teatrach dalej chcą zamykać oczy i wystawiać Fredrę, udając, że to o Kaczyńskim. Mają nadzieję, że to zaraz minie, a to może wcale nie minąć. Pętla się zaciska i jak czegoś z tym nie zrobimy, to za rok, dwa będziemy dyndać. Przesadzam? Kto chce zrozumieć to, co się dziś dzieje, powinien poczytać o czasach sanacji. Tam krok po kroku widać, jak demokracja zmienia się w państwo autorytarne. Te same procesy zachodzą teraz. Zaczyna się od rzeczy symbolicznych, jak przeniesienie dyskursu politycznego na płaszczyznę moralną: kiedy nazywasz swoich przeciwników politycznych zdrajcami, to z nimi już nie dyskutuj,

tylko dążysz do ich wyeliminowania, bo ze zdrajcami się nie gada. Zdrajca to jest wróg. Skończy się na tym, że chrześcijańskie oddziały obrony terytorialnej będą wyciągać ludzi z mieszkań, a my wszyscy będziemy gorzko płakać – mówi.

Dwudziestoparoletni bohaterowie „Polskiej krwi” to pierwsze pokolenie, które nie realizuje się w kontrkulturze, bo kontrkultura zniknęła. Nie ma subkultur, nie ma pokoleniowej muzyki, manifestów, pokoleniowych filmów. Są młodzieńcze fantazje seksualne wymieszane z zupełnie niemłodzieńczymi obsesjami – ksenofobią, antysemityzmem, czystą rasą i białą Polską. Prawica dławí się swoimi lękami i nienawiściami, a liberałowie są wszystkim krańcowo znudzeni, nie mają szans zaproponować czegokolwiek, co mogłoby konkurować z nacjonalizmem”.

– Zostałem opozycyjnym artystą mimo woli – tłumaczy Wojcieszek. – Jedyne sposoby, żeby dziś zebrać pieniądze na spektakl o młodych nacjonalistach i skapciałej liberalnej inteligencji, to crowdfunding. PiS gangrenuje kolejne instytucje. Ewa Stankiewicz, która krzyczy, żeby powiesić Tuska, jest ekspertem publicznego instytutu sztuki filmowej? Co to jest za rzeczywistość? Faszyści wychodzą na ulicę, a władza ich głaszcze. Tu nie ma miejsca na kompromis, tu jest miejsce na koktajl Mołotowa. Ludzie mają nadzieję, że jak pochowają głowy w piasek, to im pozwolą wydać książkę albo pokazać się w telewizji. Że to się da przeczekać. Chciałbym tym wszystkim ludziom powiedzieć, że nie minie. I że nie można się bać. Nie można się, kurwa, bać. **N**

dawid.karpiuk@newsweek.pl